PONIEDZIAŁEK 14 LUTEGO 1938 ROKU Nr. 22

MÓJ ŚWIATEK

Tygodniowy dodatek „Kurjera Zachodniego" dla młodzieży

ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU.



Stary Kraków gościł w swych murach J. W. Regenta Węgier admirała Horthyego. Gość węgierski zamieszkał w Zamku Królewskim na Wawelu, który był wspaniale iluminowany wieczorem i oświetlony reflektorami. Na zdjęciu — szacowne mury Wawelu w świetle ukrytych dyskretnie reflektorów — nabierają swoistego uroku

Z DUŃSKICH BAŚNI

PIERWIOSNKI

— Tywit! Tywit! — gwizdał szpak, lecąc ponad stawem w lesie. — Cieszcie się, cieszcie się! Nadchodzi panna Wiosna! Niosę ją na skrzydłach!

Usłyszała to pod ziemią nowa trawka; poczęła róść i róść. Mrugała przy tym złośliwie okiem w stronę zeszłorocznej pożółkłej trawy. I pierwiosnki pośród drzew, usłyszały wesołe pokrzykiwanie szpaka, ale zupełnie nie myślały wyglądać spod ziemi.

— Nie należy zwracać uwagi na szpaka mówiły między sobą — jest to lekkomyślny wietrznik. Zawsze się ze wszystkim pospieszy, i zaraz wszystko wykrzykuje. My już tam lepiej poczekajmy, aż powrócą jaskółki. One się naprawdę znają na rzeczy i są osoby pewne.

Wreszcie powróciły jaskółki. Rozejrzały się po okolicy, a wtedy rzekł pan Jaskół:

— Naturalnie, przyleciałyśmy za wcześnie, jak zawsze zresztą. Nie ma jeszcze ani listka, ani jednej muszki, prócz jednej zeschłej muchy zeszłorocznej, dla której nawet dzioba otwierać nie warto.

Pani Jaskółczyna wprawdzie nie odrzekła na to ani słowa, ale z dzioba jej było widać, że niezbyt jest tym wszystkim zachwycona.

— Żeśmy też nie zostali w naszej wygodnej, zimowej rezydencji za górami — rzekł pan Jaskół. — To twoja wina. Zawsze co roku ciągnie cię na tę wieś.

— Jeśli się śpieszę, to mam swoje powody — odrzekła pani Jaskółczyna — muszę wyląc młode jaskółeczki.

Pan Jaskół zaczął wtedy świergotać, jak umiał najpiękniej, za co został skarcony przez żonę, która rzekła:

— Ach, zamilknij przez litość! Śpiew twój jest tak smutny, że się serce kraje... lepiej zawołaj na pierwiosnki, już na nie czas.

Skoro tylko pierwiosnki usłyszały świergot jaskółczy, poczęły przezornie wychylać z ziemi swoje główki. A tak były okutane w zielone chusty, że nie można było ich dojrzeć.

— Och, za wcześnie jeszcze, — mruknęły — jaskółki nie mają wstydu, że nas tak oszukują.

— Tsi! Tsi! — szczebiotała jaskółka — dalej żywo w górę! Rośnijcie prędzej leniwce. Czy nie widzicie, że panna Wiosna wraca?

Pierwiosnki były jednak przezorne. Rozchyliły nieco swoje zielone powijaki i rozejrzały się ostrożnie.

— Jedna jaskółka nie czyni jeszcze wiosny — szemrały — a my — ho! ho! nie jesteśmy głupie. Wiemy, że jeden mocny katar — a już po nas.

— Ach, co za tchórze! — rzekła jaskółka. Umieściła się na kominie leśniczówki i rozpatrywać poczęła okolicę.

Pierwiosnki wciąż przezornie czekały. Kilka z nich jedynie, niecierpliwszych, zdjęło ze siebie zielone szale, aby wyjrzeć na słońce. W nocy chłodzie, wszystkie umarły, a wieść o ich śmierci poszła po lesie i krążyła wśród kwiatów, wśród których zapanował popłoch

Aż podczas jednej cichej, słodkiej nocy przypłynęła panna Wiosna. Nikt ją na całym świecie nie wie, jak ona wygląda, a każdy za nią tęskni i każdy ją błogosławi. Wchodzi do stajen i otwiera wrota, wracając swobodę bydłu i trzodzie. Płynie na wskroś przez serca ludzkie i napełnia je radością. Rozprasza uwagę najpilniejszych uczniów w klasie i nie pozwala im spokojnie usiedzieć na ławce. Lecz nie przychodzi ona nigdy od razu. Zbliża się nocami, a najpierw czują zbliżanie się jej ci, co jej najbardziej łaknęli.

Zdarzyło się, że pierwszej zaraz nocy, kiedy przybyła, przepływała Wiosna nad

pierwiosnkami, które natychmiast zrzuciły swoje zielone zawoje, bo im było zbyt duszno. I oto ukazały się w swoich ślicznych białych sukienkach. Tak były piękne i młode, że na ich cześć ptaki odśpiewały swoje najpiękniejsze hymny.

— Och, jakżeż pięknie, jakżeż pięknie! szeptały pierwiosnki. — Jakże ciepłe jest słońce! Jak cudnie śpiewają ptaki. Stokroć piękniej jest teraz niż było zeszłego roku!

Ale pierwiosnki każdego roku powtarzają to samo. Wszystko dokoła radowało się patrząc na ich piękność Klon tylko był w złym humorze i mruczał:

— Kiedyż raz wreszcie przyjdziesz i do mnie panienko Wiosno? Zdaje się, że jestem chyba ważniejszą figurą, niż blade pierwiosnki.

— Idę, już idę! — zaśpiewała Wiosna — lecz bądź łaskaw i poczekaj jeszcze nieco — i odeszła w głąb lasu.

— Hej tam! — wołała — głowy do góry! Pijcie słoneczne blaski!

Pierwiosnki usłuchały wezwania Wiosny. Wyciągnęły w górę główki, rozpostarły białe swoje listki i łakomie piły słoneczne światło.

— Nie wytrwam dłużej! — zawołał klon i wypuścił zielone pędy. Zielona korona klonu stawała się coraz więcej okrągła.

— Panie dostojny — szepnęły pierwiosnki, widząc, że się ściemnia nad nimi — czyżby to już był wieczór?

— To nie wieczór — rzekł im klon — to idzie śmierć wasza Skończone z wami.

Przez kilka dni następnych pierwiosnki żyły jeszcze. Później powiała po raz ostatni wiosna po lesie. Miała jeszsze sprawę z dębami, gromadą brodatych starych ojców lasu. Wtedy powiedziała do pierwiosnków:

— Idźcie teraz spać pod ziemię. Ja wrócę znów za rok i wtedy zbudzę was na nowe, choć krótkie życie.

Niektóre z pierwiosnków spełniły jej rozkaz. Inne jednak usiłowały podnieść główki.

— To wy nas zabijacie! — zawołały ku liściom klonu.

— Poczekajcie jesieni — rzekł klon z uśmiechem — wtedy poznacie prawdę.

Pierwiosnki nie mogły jednak pojąć, co on im przez to chciał powiedzieć. I powiędły. Minęło lato Ognistą swą pracą umęczyło się słońce i szło wcześniej na spoczynek. A nocami włóczyła się chyłkiem Zima pośród drzew, badając czy czas jej już nie nadszedł. Ilekroć napotkała kwiat, brała go w dłonie.

— Jakto jeszcześ tu? Bardzo miło, że cię znalazłam.

A kwiat od jej dotknięcia natychmiast umierał Coraz częściej goniła Zima po lesie. Buszowała wśród liści, a one żółkły. Pierwiosnki czuły pod ziemią luty oddech Zimy i czekały aż przyjdzie Wiosna, jak im obiecała. A Zima wezwała na pomoc Zawieruchę. Rycząc gnał przez las, a gałęzie drzew trzaskały i łamały się. Słabsze, stargane padały na ziemię, silniejsze i młodsze borykały się. Potargane liście spadały na ziemię. Lecz i tam jeszcze Wichura nie dawała spokoju. Porwała je i cisnęła w wir i gnała przez pola i lasy. Niezliczone zaległy ziemię i leżały na niej jak żółty kobierzec.

Wtedy pierwiosnki poczuły miłe, słodkie ciepło Jeden z nich odważniejszy wyjrzał spod ziemi, aby ujrzeć co się dzieje na świecie.

— Dzień dobry! — zaszemrały liście umarłe — za wcześnie kwiatku, za wcześnie!

— Czy panna Wiosna już powróciła? — zapytał kwiat.

— Nie — i nie prędko powróci — rzekły liście klonu. — My zaś jesteśmy liśćmi tego klonu, przeciwko którym buntowałyście się tego roku. Przeminęła nasza zieleń, nasza wesołość. Teraz zalegamy tu ziemię i chronimy małe kwiatuszki, cą są pod ziemią, przed nadejściem mrozu.

— Ja zaś tu marznę i nagie gałęzie moje — jęknął klon.

Słuchały tego wszystkiego pierwiosnki pod ziemią i zauważyły, że właściwie wszystko doskonale się dzieje.

— Ach, kochane są te klonowe liście, jak nas grzeją.

A klon im na to:

— Zapamiętajcie to sobie na przyszłe lato, gdy się zazielenię.

— Naturalnie, zapamiętamy! — mruknęły pierwiosnki.

Wiadomo jednak: obiecanka — cacanka. Pewnie znowu będzie to samo.

DZIWNA CHOROBA LILI

Lili mieszkała w słonecznej willi za miastem. Z okien pokoju miała piękny, obszerny widok, ale Lili nie lubiła wyglądać oknem. Tam na dworze było radośnie i wesoło, park roił się od dzieci bawiących się całymi dniami, a ona nie mogła być razem z nimi.

Od dłuższego czasu była chora i nie opuszczała swego pokoju. Lekarze nie mogli rozpoznać tej dziwnej choroby. Żadne lekarstwa, żadne środki nie mogły dodać Lili ani sił, ani ochoty do życia. Wyraz smutku i zniechęcenia nie schodził nigdy z jej bladej, zmęczonej twarzyczki. Napróżno rodzice, kochający nad wszystko i rozpieszczający swą jedynaczkę, pragnęli ją rozerwać i rozweselić. Nie bawiły jej ani cudne lalki, ani książki, ani śliczne sukienki. Długie dni spędzała leżąc, a jej wykrzywiona bolesnym grymasem twarzyczka z każdym dniem była bledsza.

— Skąd się wzięła ta okropna choroba? — pytali ze zdziwieniem znajomi.

A choroba zaczęła się od drobnego i niezrozumiałego wydarzenia.

Lili była wesołym, zdrowym dzieckiem. Ponieważ każda jej zachcianka, każde skinienie zawsze spełniano, była bardzo rozpieszczona. Pewnego razu zdarzyło się, że do ogródka, gdzie Lili bawiła się pod opieką niani, weszła niepostrzeżenie mała, nędznie odziana dziewczynka. Zbliżywszy się i jak urzeczona wpatrywała się w wielką śliczną lalkę, która leżała na trawie, rzucona niedbale. Nagle nachyliła się i podniosła lalkę.

— Taka cudna, a poniewiera się na ziemi — pomyślała.

W tym momencie Lili spostrzegła, że jakaś obca dziewczyna trzyma w ręku jej zabawkę.

— Połóż to zaraz — zawołała.

Ale dziewczynka, jakby nic nie słyszała stała bez ruchu wpatrzona w lalkę.

— Daj mi w tej chwili lalkę, ty przybłędo, przecież ją zabrudzisz! — krzyknęła nie przyzwyczajona do sprzeciwu Lili. I zanim nieznajoma zdołała wyszeptać, że nie chciała przecież tej lalki zabrać — szarpnęła całą siłą zabawkę i pchnęła dziewczynkę tak gwałtownie, że ta upadła na ziemię. Rozdarł powietrze przeraźliwy krzyk — upadającej dziewczynki i Lili, która nagle chwyciła się za serce.

Odtąd zaczęła się choroba Lili. Narzekała na ucisk koło serca, mówiła, że czuje stale jakiś chłód i zimno, chociaż w pokoju było zawsze ciepło i zażywała bezskutecznie różne lekarstwa przeciw febrze.

Była już zima. W parku dzieci ślizgały się po całych dniach. Lili ciągle jeszcze nie opuszczała pokoju.

W pewien mroźny, styczniowy wieczór rozpętała się na dworze śnieżna

zawierucha.

W pokoju Lili było już ciemno, ale dziewczynka nie mogła usnąć. Słyszała, jak wiatr wył za oknami, targał bezlistne gałęzie drzew w parku i rzucał o szyby zmarznięte grudy śniegu. Nagle zdawało się jej, że w przeraźliwy, ponury świst wichru, wmieszał się jakiś inny obcy głos. Usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Zapaliła lampkę. Tak, teraz wyraźnie już słyszała, jak tam za ścianą ktoś skarżył się i płakał cienkim, dziecinnym głosikiem.

— Zawołam nianię — pomyślała, ale przypomniała sobie, że niania nie pozwala wpuszczać do domu obcych. Zresztą wszyscy już spali. Położyła się znów i próbowała usnąć — naprożno. Nieustannie słyszała ten cichy, żałosny głos.

— Cóż mię to może obchodzić — myślała — zresztą jestem chora. W tej samej chwili wzrok jej padł na obraz, wiszący na przeciwległej ścianie.

— Co to? Biały o śnieżnych skrzydłach Anioł Stróż jakby wychylił się ku niej z ram obrazu. Wyraźnie usłyszała szept.

— Wstań, otwórz drzwi temu dziecku.

— Ależ ja jestem chora, nie mogę się swobodnie ruszać — pomyślała.

— To nic. Ja ci pomogę.

— Przecież ja nie wiem kto tam stoi za drzwiami, ja się boję.

— To dziecko tam zmarznie — zabrzmiało w uszach Lili.

Podniosła się, wdziała gruby szlafrok i miękkie pantofle. Szła ku drzwiom, jakby nie o własnej sile. Czuła, że ją jakieś mocne ramię podpiera. Otworzyła drzwi wejściowe z zatrzasku. Tuż obok drzwi stała w świetle latarni mała, skulona postać. Drgnęła i podniosła głowę. Lili zobaczyła twarz dziecka zmarzniętą i zaczerwienioną.

— Ma chyba tyle lat co ja — przemknęło przez myśl Lili — u mnie ciepło, a ona... — i zdecydowała się odrazu: — Muszę jej pomóc.

W tej samej chwili stało się coś dziwnego. Lili uczuła nagle, że ustąpił gdzieś bez śladu ucisk wewnętrzny i chłód, a jej chore serce, jakby zamienione w kawałek lodu — ożyło.

Chwyciła za rękę obcą dziewczynkę i wprowadziła ją do mieszkania. W swoim pokoju usadziła gościa przy piecu. Okryła ją i rozcierała jej skostniałe z zimna palce. W domu zrobił się ruch. Światło i odgłos kroków obudziły śpiących. Do pokoju Lili wbiegła mamusia i stanęła zdumiona w progu, widząc, jak Lili krząta się i biega zarumieniona po pokoju, jak gdyby nigdy nie była chora.

— Lili, na Boga, ty jesteś przecież zdrowa! — wykrzyknęła wreszcie.

A Lili podeszła do matki i szepnęła: — Tak mamusiu, ale o mnie pomówimy później. Teraz trzeba się zająć naszym biednym małym gościem.

H.

SKAZANIEC MILIONEREM

W tej samej chwili, gdy zamierzała rzucić w nadstawioną wolną rękę chłopca wielką pomarańcz, dozorca podniósł głowę i pogroził małej palcem.

Ale Marta nie przestraszyła się, zrobiła tak przymilną minkę, tak się ślicznie uśmiechnęła, że widocznie rozbroiła nawet tego surowego człowieka. Odwrócił głowę,

udając, że przestał się nią zajmować. Wówczas zręcznie cisnęła kolorową kulę, którą skazaniec złapał i podziękował, szeroko się uśmiechając.

Uszczęśliwione dzieci odeszły od bariery, widząc opodal kapitana, pomknęły w jego stronę. Zasypały go pytaniami, dotyczącymi, oczywiście, skazańca.

— Ach, ten! Nawet zupełnie miły chłopak, lecz podobno gwałtowny i nieokiełznany. Zdaje mi się, że go oskarżają o zabójstwo i ucieczkę przed wymiarem sprawiedliwości. Obecnie złapano go w Hong-Kongu i wiozą do Anglii, żeby go osądzić. Dla pewności przykuli go do jego dozorcy.

— To okropne — wyszeptała Marta — Ale, czy na pewno popełnił zbrodnię?

— Tego nie wiem. Twierdzi, że jest niewinny...

— O, na pewno jest niewinny! — wykrzyknęła Marta.

Kapitan pogłaskał ją po głowie i ciągnął dalej z uśmiechem:

— Jeżeli jest niewinny, to sąd zwolni go na pewno — tylko źle zrobił, że uciekł, przez to się mocno obciążył. Według jego słów, ujął się za kolegą, którego nadzorca lasów uderzył, gdy ich złapał na strzelaniu. Jakoby strzelali do celu, a natomiast nadzorca posądzi ich, że strzelają do kozłów. Pchnął nadzorcę tak silnie, że ten padając, uderzył głową o pień drzewa i zemdlał. Chłopcy myśleli, że nie żyje. Przerazili się i uciekli. Nie wiem, jak tam dalej było, dosyć, że sprawca zamachu na dozorcę uciekł aż do Hong-Kongu.

— Co go czeka, jeżeli nie zdoła udowodnić swej niewinności? — zapytał Tomasz.

— Nie wiem — rzekł kapitan — Lecz dlaczego on was tak interesuje? Idźcie lepiej na kort tenisowy. Już tam się zebrała spora gromadka waszych rówieśników.

Z tymi słowami kapitan odszedł.

2 ROZBITKI

Pod wieczór zerwał się wiatr i zrobiło się nagle zimniej.

Piękna pogoda skończyła się. Ocean Spokojny był wzburzony i okręt coraz to z większym trudem pruł spienione fale, kierując się ku wschodowi. Pokłady były zalane deszczem i wodą morską.

Telegraf bez drutu podawał coraz to nowe wiadomości o katastrofach na pełnym oceanie; o tym jednak milczały codzienne biuletyny.

Marta cierpiała na morską chorobę i spędzała całe dni w kajucie. Mimo cierpienia wciąż wracała myślą do nieszczęśliwego skazańca. Jak się czuli pasażerowie dolnego pokładu w taką pogodę? Czy biedny chłopak był wciąż przykuty do swego dozorcy? Te dwa pytania nie dawały jej spokoju.

W nocy obudziła się od nagłego wstrząsu i przeraziło ją okropne wycie wichury, jak również nierówny ruch okrętu.

Zapaliła nocną lampkę.

Z drugiego łóżka wyjrzała blada, wycieńczona twarz ciotki z zimnym okładem na czole.

— Nie śpisz? — szepnęła, a spojrzawszy na zegarek dodała: — wpół do drugiej.

Drugi silniejszy wstrząs poderwał obydwie na równe nogi.

Ciotka Aurelia zazdzwoniła nerwowo na służącą, która za chwilę weszła.

— To nic. Wiatr wzmógł się, „Forward" wytrzymywał nie takie burze — rzekła.

Odeszła, trzymając się ściany.

— Poczekaj, pójdę i dowiem się czegoś — szepnęła pani Aurelia, narzucając ciepły płaszcz.

Marta sama usiadła na podłodze i nie mogła wstać, drżąc ze strachu.

Coraz bardziej huśtał się olbrzymi „Forward". To wznosił się na olbrzymie fale, chwilę pozostawał na wyżynie i leciał w dół, w otchłań, z szybkością sanek, zjeżdżających ze śnieżnej góry.

Cały kadłub jęczał pod naporem wiatru. Pruł jednak naprzód wytrwale, jakby chcąc podkreślić godność swej nazwy.

(C. d. n.).

SŁOŃ I ZŁY DOZORCA

OPOWIEŚĆ PRAWDZIWA

Słonie odznaczają się doskonałą pamięcią. Poza tym łagodne i spokojne zawyczaj zwierzę jest jednak mściwe i nie zapomina nigdy doznanej krzywdy i jej sprawcy. Przekonał się o tym w Banares (Indie) dawny dozorca. Przed pięciu laty zdarzyło się, iż ów dozorca zmaltretował słonia, tak, iż musiano rozżartego z wściekłości gruboskórcę przenieść na inną plantację, w obawie, iż rozdepcze przy pierwszej okazji dozorcę.

Przypadek chciał, iż tenże słoń i dozorca spotkali się niedawno na ulicy w Benares. Słoń poznał natychmiast swego prześladowcę, choć zajście miało miejsce pięć lat temu, i rzucił się z podniesioną trąbą ku swemu wrogowi. Wystraszony dozorca popędził przed siebie i udało mu się w ostatniej chwili wpaść do pobliskiej świątyni.

Tam już słoń nie mógł się dostać, bo drzwi były dlań za wąskie i za niskie. Ale oblegał świątynię przez cztery dni, wartując dzień i noc przed wejściem. Dopiero po kilku dniach udało się ułagodzić słonia i zabrać go sprzed świątyni.

DŁUGOŚĆ JESIENNEGO LOTU JASKÓŁKI

Jak wielkie przestrzenie przebywają ptaki przelotne? Odpowiedzią na to pytanie może być informacja, którą udzielił jeden z misjonarzy włoskiemu pismu.

Dnia 29-go grudnia 1937 roku wleciała do domu jednego z tubylców w Bonjo (Belgijskie Kongo) jaskółka, która obleciała izbę dokoła i nie mogła się z niej wydostać. Właściciel domu, murzyn, zabił ją kijem i zaczął oskubywać ją z pierza. Jakież było jego zdumienie, gdy na nóżce ptaka zauważył pierścień z niezrozumiałymi dla niego znakami. Po zjedzeniu upieczonej jaskółki, murzyn udał się z pierścieniem do misjonarza, który odcyfrował na nim napis: „Stacja ptaków, Helgoland 8 345 578".

Droga, którą przebyła jaskółka z Helgolandu do Belgijskiego Konga, wynosi, według pobieżnego obliczenia 6.500 do 7.000 kilometrów.

„Za dużo trudu" — pisze dowcipnie pismo włoskie — „aby skończyć jako pieczeń w żołądku murzyna".

NASZA POGAWĘDKA

JANUSZ GONIEWICZ. Bardzo Ci dziękuję za fotografię i za pozdrowienia dla mnie i całej Rodzinki. Zanotowałam, że zbierasz znaczki pocztowe. Czytaj pilnie „Światek" a znajdziesz w nim niebawem interesującą Cię wiadomość o niespodziance dla filatelistów. Zasyłam ci wiele pozdrowień w swoim i Rodzinki imieniu.

„GWIAZDECZKA". Postawiłaś mnie w kłopotliwym położeniu. Trudno jest w takiej sytuacji nie znając Twoich możliwości finansowych poradzić Ci, co kupić Ojczulkowi na imieniny Wydaje mi się, że najstosowniejszy byłby jakiś dar Twoimi wła

snymi rękami wykonany. Niektóre przysłane do umieszczenia w „Światku" łamigłówki są niekompletne. Postaram się je częściowo umieścić. Pozdrawiam Cię i dziękuję za pamięć.

MŁODY HARCERZ. Do Rodzinki zostałeś przyjęty, również zanotowałam Cię na liście filatelistów. W sprawie znaczków pocztowych — znajdziesz wiadomość w „Światku". Dziękuję za ukłony i przesyłam Ci wzamian pozdrowienia.

HELA WOŹNICZKÓWNA. Postaram się aby nie zawieść Twego zaufania i Twej opinii o „Światku". W Rodzince już masz swoje miejsce, pamiętaj więc o „Światku" i pisz często. Zasyłam Ci ukłony i Twoim Rodzicom.

WANDA TRZĘSIMIECHÓWNA. Za list dziękuję Ci serdecznie i cieszę się, że nagroda sprawiła Ci taką radość. Z książeczką Twoją było nieco kłopotu, bo nasza roznosicielka ,która miała doręczyć Ci książkę nie mogła jakoś odnaleźć ulicy Stawowej w Niwce. Przypuszczam, że dziś już książeczkę masz w swojej biblioteczce.

„BOŻYDAREK". Oczywiście, że możesz mnie odwiedzić. Będę się cieszyła z Twej wizyty. Zobaczysz, rzecz prosta jak się robi dla Was „Mój Światek". Za ukłony dziękuję.

DO FILATELISTÓW, KTÓRZY PRZYSŁALI SWOJE ADRESY! Wszystkich filatelistów zarejestrowałam na specjalnej liście. Niebawem w „Moim Światku" znajdziecie wiadomość o pewnej niespodziance dla zbierających znaczki.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z POPRZEDNIEGO NUMERU „MOJEGO ŚWIATKA" Karnawał, Powstanie Styczniowe, Samuel, odległość wynosi 36 mil morskich.

NAGRODY OTRZYMALI: Zofia Kusiówna z Sosnowca, Isia Ottówna z Dąbrowy, Jan Kochanowicz z Sosnowca i Ninka Łyżwińska z Czeladzi.

Sporo rozwiązań było błędnych a trudność nastręczało zagadnienie z milami morskimi.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA DOKOŃCZENIE „OPOWIADANIA WOJTUSIA": Nagrodę otrzymała Kazia Korpowska z Niwki.

W następnym numerze „Mojego Światka" ogłoszony zostanie znów interesujący konkurs na domyślność Czytelników.

Rozrywki umysłowe

UZUPEŁNIANKA

W puste miejsca kwadratu wpisać 7 wyrazów podług poniższego znaczenia.

K						
K	L					
K		L				
K			L			
K				L		
K					L	
K						L

Znaczenie wyrazów: 1) Instrument muzyczny; 2) Stare podanie lub baśń; 3) Ozdoba noszona w uszach; 4) Zaklęsłość dużej powierzchni; 5) Spis książek; 6) Część bielizny. 7) Jarzyna.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

Z następujących sylab ułożyć 18 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poety polskiego.

Sylaby: glja lon ce by ka a ni a ruń śnia ma na i war an sta ra ca skół fry cej o to ła ja wa gja będź sar nor i wi hi z ła koń je gła we bja na sła ka re.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię żeńskie. 2) Miasto w Polsce. 3) Kraj w Europie. 4) Kraj w północnej Europie. 5) Spójnik 6) Zwierzę leśne. 7) Ptak pływający. 8) Część świata. 9) Owoc. 10) Ptak. 11) Kraj w Azji. 12) Wyspa w Azji. 13) Góry w Azji. 14) Ryba. 15) Gra. 16) Imię żeńskie. 17) Materiał budowlany. 18) Spółgłoska.

SZARADA.

Pierwsze — trzecie owady.
Szkodliwe są bardzo,
zjedzą każdą tkaninę,
żadną nie pogardzą.

Drugie — nuta.
Lubicie pewnie bardzo. Całe —
owoce południowe w smaku doskonałe.